Nr. 23. Lwów — 1888 r. Rok XI.

Numer pojedyńczy 15 ct.

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH.

„Goniec“ i „Iskra“ wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Prenumerata na obydwa pisma wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie: 2 zlr., półrocznie 4 zlr., rocznie 8 zlr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce 20 franków rocznie — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 10.** Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.

Jenerał Boulanger.

(Do portretu).

Mniejsza o to w tej chwili, słusznie, czy niesłnsznie, dość, że Bonlanger jest najgłośniejszym człowiekiem obecnie w całym świecie... I cóż takiego zrobił? Właśnie dlatego jest głośny, że nic nie zrobił, a chce bardzo wiele... Dzisiejsze czasy są bardzo dziwne — wszystko może się nie stać, i wszystko może się stać... W sprawach politycznych, żadnych proroctw być nie może, ale zatem niespodzianek multum... Niektórzy utrzymują, że Boulanger dąży nawet do korony cesarskiej we Francji — może to i prawda, ale to pewna, że chce zostać prezydentem rzeczy pospolitej francuskiej i zostanie — na krótko, ale zostanie... Co się potem stanie — w to już wdawać się obecnie nie możemy i zamiast bawić się w jakieś horoskopy — podajemy kilka dat z życia jenerała Boulanger'a.

Jerzy-Ernest-Jan-Marja Boulanger urodził się w Rennes 1837 roku Szkołę wyższą wojskową ukończył w Saint-Cyr i wstąpił do służby w 1855 rokn. Podporucznikiem mianowany 1856 roku a, już w 1870 rokn został posunięty na majora. W tych czasach odznaczył się w kilkn kampanjach, mianowicie w Algierze, we Włoszech i w Kochinchinie; w roku 1870 był ranny pod Champigny, a podczas oblężenia Paryża przez prusaków dowodził pułkiem, jako podpułkownik. W 1874 r., mianowany został pułkownikiem. W 1878 jenerałem brygady, a w 1884 jenerałem dywizji.



Jenerał Boulanger.

(Podług fotografi paryskiej)

Jenerał Boulanger był przedstawicielem rządu francuskiego w Ameryce, gdy obchodzono 100 letnią rocznicę niepodległości Stanów Zjednoczonych. W wojnie w Tunisie był naczelnym wodzem wojsk francnskich. Dnia 8. stycznia 1886 r., został ministrem wojny w gabinecie Freycinet'a. Jenerał Boulanger miał pojedynek z senatorem de Lareinty, który w swoim czasie poruszył bardzo opinję. Jenerał Boulanger, jak wiadomo ustąpił ze stanowiska czynnej służby i jest wybrany posłem do parlamentu. Obecnie ma 50 rok, formy przyjemne i powierzchowność przystojną, chociaż pełna broda, dodaje mu więcej dobrodnszności, aniżeli żołnierskiej postawy.

Niemcy zajmują się bardzo jenerałem Boulangerem i czują w nim zdecydowanego wroga.

Od ręki.

═ Czytamy w „Roli“:

O piękne panie! gdybyście wiedziały, co się w tej chwili dzieje we mnie, jaka walka wre w głębi mej duszy, żałowałybyście mnie szczerze — ba! zapłakałybyście może nademną. Walka to sroga, straszliwa; walka między sumieniem kronikarskiem i życzliwością dla Was z jednej, a poczuciem obowiązków społecznych, z drugiej strony. Słowa, bowiem, które z pióra mego spaść mają na ten papier, ogromną brzemienne są przyszłością. Mogą one dokonać zupełnego przewrotu naszego społeczeństwa; ba! gdyby tylko naszego społeczeństwa, ale to całej starej Europy; ba! gdyby tylko starej Europy, ale to ludzkości całej!... Mogą, na korzyść jednej, jedynej miejscowości, pozbawić świat cały najpiękniejszej jego ozdoby, najlepszej jego cząstki, najcenniejszego jego klejnotu, najwonniejszego jego kwiatu — jednem słowem mogą pozbawić go Was, o piękne Panie!...

Ale co robić! Moralny mus, twardszy od przysłowiowego niemieckiego orzecha, w żelazne swoje kleszcze ima moją prawicę, przyciska ja do papieru i każe pisać.. Jeszcze się chcę opierać, ale kości moje trzeszczą w żelaznym uścisku: ano, panie dobrodzieju: *Pereat mundus, fiat justitia!*

Otóż, proszę łaskawych pań, w Ameryce, w tej dziwnej Ameryce północnej, w stanie Kanzas, jest takie jedno miasto, w którem... w którem — tak zwani „panowie świata“ przestali zupełnie być panami, a rządy objęły — kobiety! Co najboleśniejszem jest dla tych, co się do jakiejkolwiek solidarności z płcią brzydką kanzaską poczuwają, to to, że rewolucja ta dokonała się bez żadnej walki, bez oporu; Kanzas, bez wylania najmniejszej kropelki krwi, zamieniło się w... Eldorado — no, oczywiście w Eldorado. Mężczyźni, w jednem oka mgnieniu, zwolnieni zostali od ciążących dotąd nieznośnie na nich obowiązków przodowania społeczeństwu, instruowania go i obrony jego, a natomiast zajęli łatwe, a miłe stanowiska kucharek, młodszych, „do wszystkiego“ i t. d. Trochę subjekcjonalnem tylko wydaje im się podobno ostatnie rozporządzenie, polecające pełnić im również obowiązki mamek; no, ale święci garnków nie lepią: trochę dobrej woli, trochę aplikacji, a i to się z czasem zrobi, a wtedy będzie już jak najlepiej w najlepszym z Kanzasów.

W tej chwili, kiedy już cofnąć się nie mogę, widzę dopiero całą doniosłość następstw, jakie słowa moje wywołają; widzę istną wędrówkę narodu niewieściego ze starej na nową półkulę, widzę okropność położenia, jakie dla własnej. brzydkiej płci, niebacznie zgotowałem. Cóż my tu poczniemy sami, biedni, opuszczeni — sieroty, po naszych żonach, matkach, siostrach, po naszych jednem słowem, tyrankach. Ano nie ma co, tylko trzeba kark dobrowolnie poddać pod jarzmo i wyruszyć *en masse* także do Kanzas, choćbyśmy wszyscy mieli pójść w służbę za mamki..

A kto wie... może też i nie wszystkie kobiety wyemigrują do Kanzas?... Pozostanie zdaje się wśród nas pomiędzy innemi królowa Krystyna, regentka hiszpańska, która i w starej Europie umie znajdować sposobności do czynów i postępków, chlubę płci niewieściej przynoszących. Istniał w Madrycie zwyczaj, że w czasie wielkiego tygodnia panującemu przysługuje prawo ułaskawienia trzech skazanych na śmierć; otóż, królowa Krystyna w zwyczaj ów wprowadziła tę zmianę, że zamiast trzech, ułaskawiła ośmnastu Dla czego ośmnastu? nie wiem, może dla tego, że więcej skazanych nie było, ale to wiem, że nawet na ucznucie dnmy, przejmujące prezydentkę respubliki kanzaskiej, nie zamieniłbym uczucia, jakiego doznawać musiała zacna monarchini hiszpańska, gdy podczas nabożeństwa w kaplicy pałacowej wielki jałmużnik dworu wskazując na leżące na stole wyroki śmierci, zapytał jej: „Czy Wasza Królewska Mość przebaczasz tym zbrodniarzom ich winy?“ — a ona odpowiedziała: „Przebaczam, tak jak pragnę, aby mi Bóg moje przebaczył!“

Dziwna rzecz, jak rozmaitemi bywają skłonności, upodobania, zamiłowania, wstręty, radości i trwogi ludzkie!... Niektórzy tak boją się śmierci, że słuchać o niej nie lubią; ja znów przyznam się że wybierając z dwojga złego, gdybym był skazany na śmierć, albo na jadanie mamałygi (papka z mąki kukurudzanej z wodą), wybrałbym bez wahania pierwsze. Tymczasem znalazł się słyszę rumun, nazwiskiem Vitescu, rodem ze wsi Bodza, który dobrowolnie, nie zmuszony do tego żadnym wyrokiem (chyba wyrokiem losu), przez całe życie nic a nic nie jadał oprócz mamałygi i przy tej przyjemnej strawie, pozwolił sobie umrzeć dopiero temi dniami, mając lat, ni mniej, ni więcej, jak 115!... No, na to trzeba być chyba tylko — rumunem..

W tem miejscu, lubo niezupełnie mimowolnie, nasuwa się jednak pytanie: Kim trzeba być, żeby się porównać z Dziewicą Orleańską?.. Otóż ponieważ odpowiedź jest przytrudną, więc dam ją odrazu: na to trzeba być — Boulangerem... Tak jest, Boulanger zaszedł już tak daleko, iż twierdzi, że jest na wyratowanie Francji przez Boga zesłany, — a kiedy mu ktoś na to zrobił uwagę, że w takim razie jest drugą Dziewicą Orleańską, odrzekł z najzimniejszą krwią: „kto wie?!“...

═ Wenecja i... pan Lubicz.

„Czas“ krakowski, à propos des bottes, skruszył kopję o pana Lubicza... W jednym z ostatnich numerów tego pisma donoszą, że pan Mańkowski, autor „Dziwaka“ mieszkając z rodziną swą w Wenecji, zamówił w krakowskim teatrze trzy loże na przedstawienie „Dziwaka“ i, że z Wenecji podąży cała rodzina autora który pragnie zobaczyć w tej sztuce grającego znakomicie pana Lubicza. Dla redaktora „Gońca“ i „Iskry“, który „od dwóch lat wytrwale poniża charakter i talent tego artysty“ — ma to być, pisze „Czas“, „najlepszą odpowiedzią“...

Był jakiś magnat, który sobie sprowadził ze swego majątku w Polsce całe święcone do Paryża; był inny, który kociołek flaków warszawskich kazał przysłać pocztą do Madrytu i był także chudy literat lwowski, który w roku zeszłym sprowadził sobie za trzy ruble sławnych warszawskich serdelków — więc, że autor „Dziwaka“ zamówił trzy loże na przedstawienie swojej komedji i, że przyjedzie aż z „Wenecji zobaczyć pana Lubicza grającego w tej sztuce, to tak samo rzecz fantazji i... pieniędzy, jak sprowadzanie święconego, flaków i serdelków — ale, żeby dla kogoś miało to być odpowiedzią, i to „najlepszą“ na to, co się pisało w „Gońcu“, czy w „Iskrze“ o panu Lubiczu, to możnaby z równą loiką zapytać, co się stanie z talentem i charakterem pana Lubicza, gdy autor „Dziwaka“ przestanie zamawiać loże w krakowskiem teatrze i przeniesie się z Wenecji na Podgórze?..

Któżby mógł coś mieć przeciw autorowi, który pragnie zobaczyć swoje dzieło na scenie, aktorów w niem grających, i w tym celu podąża z całą konsolacją, nawet z Australji — zwłaszcza, gdy autor, oprócz talentu, posiada... monetę... Szlachetne fantazje, są zawsze uznania godne — ja n. p., gdyby mi środki materjalne na to pozwalały, raz na tydzień, przynajmniej, kazałbym stół zastawić obfitem jedzeniem, posadziłbym za nim samego pana Lubicza i lornetowałbym go z drugiego pokoju... Jest to dziwna fantazja — przyznaję — ale tego rodzaju występy pana Lubicza, nie są bez pewnego interesu, bo pozwoliły by dokładniej obserwować człowieka z bożą iskrą w piersiach, u którego wykonywanie zwykłych funkcyj zewnętrznego życia, jest pewnym argumen-

tem naukowym w hypotezie Darwina. Ale to są oczywiście, zamki, na lodzie, bo pan Lubicz ma za wielki apetyt, ja za małą kieszeń, a zresztą, mogłoby nastąpić i pęknięcie utalentowanego aktora — to trochę za bolesny eksperyment...

Talentu pana Lubicza nigdy nie poniżaliśmy i poniżamy — utrzymywaliśmy tylko i utrzymujemy, że nie jest on tej doniosłości, aby artysta zmuszał do zamykania oczów na to, co robi człowiek... Pan Lubicz, twierdzimy to stanowczo, nie może, nie powinien i nie ma prawa być żadnym kierownikiem żadnej sceny polskiej opierającej się o subwencję krajową. Co do „charakteru" — trudna rada, ani my go nie poniżymy, ani go „Czas" nie podniesie... Pod tym względem nie my pierwsi i nie ostatni występowaliśmy przeciwko panu Lubiczowi — zwróciły na to uwagę swojem zachowaniem się pisma w Warszawie, gdzie pan Lubicz wymodlić zdołał zaledwie trzy gościnne występy przy pomocy prezesa cenzury Ryżowa.. Wszak o tem pan Estreicher, pisząc pośmiertne wspomnienia o Chomińskim w „Czasie" wspomniał, cytując ustęp z pamiętników zmarłego artysty, w których jest daleko więcej właśnie o „charakterze" pana Lubicza...

Przyznajemy ze skwapliwością i ochotą, że „Czas" jest powagą w rzeczach literackich i artystycznych — z pewną rozkoszą literacką czytamy w tem piśmie fejletony, podziwiamy nie raz jego takt, wytrawność i zmysł polityczny — ale krytyka w „Czasie" dotycząca, w ogóle, teatru krakowskiego, oparta jest jedynie na pobłażliwości. Taka metoda godną jest ze wszech miar uznania ze względu na instytucję, która w naszych narodowych stosunkach ważną odgrywa rolę — ale, czy nie jest to ze szkodą tej instytucji, gdy się toleruje to, czego właśnie w naszych stosunkach, nigdy tolerować się nie powinno?..

Nie chcemy dziś wyraźniej mówić i wolimy przypuszczać, że główni kierownicy redakcji „Czasu", zajęci większej doniosłości sprawami, nie są dokładnie poinformowani... Mamy też niepłonną nadzieję, że postarają się o bliższe pod tym względem objaśnienia i stosowny, a stanowczy wpływ wywrzeć będą sobie poczytywali za patrjotyczny obowiązek...

Tyle na dziś w odpowiedzi „Czasowi", do której i to dodać winniśmy, że bez poważnej i publicznej natury powodów przy całej naszej surowości i namiętności literackiej i artystycznej krytyki — nigdy przeciw osobistemu charakterowi nikogo nie występujemy, i pierwsi przyznamy się zawsze do winy, jeśli stajemy się echem złośliwych i krzywdzących insynuacyj...

Co jednak dalej będzie — zobaczymy i, bynajmniej, broni nie składamy...

Zakład humanitarny w Drohowyżu i przewiezienie zwłok fundatora ś. p. Stanisława hr. Skarbka.

Wiekopomna fundacja ś. p. Stanisława hr. Skarbka, jest, niezawodnie, instytucją humanitarną jedyną w całym świecie, bo drugiej podobnej z pewnością nie ma nigdzie. Całe miliony swego majątku, złożone z dóbr, lasów i ogromnego gmachu teatralnego we Lwowie zapisał zmarły na rzecz zakładów w Drohowyżu, czyli jaśniej mówiąc, dochody z tego olbrzymiego zapisu, idą na utrzymanie zakładów w Drohowyżu, i naturalnie, administracji całej fundacji. Otóż, zwłoki zmarłego w 1848 r., fundatora, za staraniem obecnego kuratora Henryka hr. Skarbka przewiezione zostały ze wszelkiemi ceremonjami religijnemi z lwowskiego Łyczakowskiego cmentarza do kaplicy umyślnie wystawionej w Drohowyżu. Razem przewieziono także do tej samej kaplicy zmarłego przed kilku laty Władysława hr. Skarbka, który zapisał także, jeśli się nie mylimy, 60 tysięcy reńskich, zakładowi w Drohowyżu na zapomogi dla rzemieślników rozpoczynających samodzielnie swój zawód. Przewiezienie zwłok odbyło się przy asystencji arcybiskupów księży: Issakowicza i Sembratowicza, przyczem ks. arcybiskup Issakowicz miał mowę w Drohowyżu, która zrobiła silne wrażenie na słuchaczach. Do Drohowyża osobnym pociągiem kolei Stryjskiej udały się różne korporacje ze Lwowa, oraz bardzo wiele osób z różnych sfer.

Henryk hr. Skarbek kurator fundacji, oraz syn jego podejmowali bardzo licznych gości z wielką gościnnością i serdecznością, a dopomagali im urzędnicy zakładu, którzy z całą gotowością pracowali i zapobiegali, aby każdy był ugoszczony i, jak się należy obsłużony.

Ci, którzy przy tej sposobności mogli choć pobieżnie zwiedzić zakład, ze wszystkiego, co słyszeli i widzieli wynieśli tak podniosłe i głębokie wrażenie, że z pewnością nigdy o tem nie zapomną.

Przy tej sposobności podamy naszym czytelnikom kilka ciekawych szczegółów o zakładzie w Drohowyżu — dla bardzo szerokich kół społeczeństwa polskiego powinny one być, w całem znaczeniu tego wyrazu, interesujące.

Cel fundacji w zakładzie jest dwojaki: udzielanie schronienia i bytu tym, którzy już pracować o własnych siłach nie mogą i pomoc młodym, pozbawionym środków materjalnych na wychowanie i życie w ten sposób, aby ich zrobić pożytecznymi dla społeczeństwa. Więc zakład utrzymuje starców (prebendarjuszów) tak płci męskiej, jak żeńskiej dając im wszelkie wygody, do jakich poprzednio w życiu przywykli, a jeśli są jeszcze silni do tego stopnia, że mogą jeszcze coś robić, to używani są do odpowiedniego zajęcia, ale im za to osobno płacą. Chłopców do nauki szkolnej i rzemieślniczej znajduje się w zakładzie drohowyzkim kilkaset, dziewcząt około 200. Warsztatów rzemieślniczych, w których się właśnie chłopcy uczą rzemiosł pod kierunkiem odpowiednich majstrów, jest 11, a mianowicie: stolarski, stelmachowski, ślusarski, kowalski, blacharski, rymarski, lakierniczy, szewski, krawiecki, koszykarski, szczotkarski z osobną słomiankarnią, przy tem jest maszyna parowa, jako motor pod kierownictwem zdolnego pracownika. Dziewczęta uczą się szyć, prać, prasować, gospodarstwa folwarcznego i domowego, służby pokojowej, kucharstwa i t. p.

Wychowanie rozpoczyna się od szkoły zwykłej, w której się uczą czytać, pisać, rachować i innych szkolnych przedmiotów dla ogólnego wykształcenia. Chłopiec w takiej szkole jest 4 lata, potem idzie do odpowiedniego rzemiosła i w warsztacie uczy się 3 lata poczem zostaje czeladnikiem, i jako taki pracuje dalej w warsztacie przez rok, ale już wówczas administracja mu płaci potrącając sobie drobną kwotę na wikt. Gdy taki czeladnik opuszcza zakład na miejsce, które mu administracja wynajduje, do staje następujące wyposażenie: 2 ubrania, jedno świąteczne, drugie do roboty w warsztacie, kapelusz filcowy, czapkę, 2 pary butów, 6 koszul, odpowiednią ilość dalszej bielizny i 25 złr. Gdy po pewnym przeciągu czasu dobrze się kieruje i pragnie założyć samodzielny warsztat, wówczas administracja fundacji daje mu mniejszą, lub większą zapomogę sięgającą aż do parę set reńskich na założenie samodzielnego warsztatu.

Gospodarstwem kuchennem i spiżarnianem całego zakładu zajmują się siostry Felicjanki posiadając liczną służbę, olbrzymie kuchnie, magazyny, suszarnie, piwnice, oraz ogromną pralnię.

Oprócz nauczycieli zwykłych do szkoły jest 2 księży jeden rz. kat. drugi gr. kat. — ten ostatni wykłada obecnie także język polski — w oddziałach dziewcząt trudnią się nauczaniem kobiety przeważnie zakonnice Felicjanki, których jest przeszło 20. Urzędników w samym zakładzie w Drohowyżu wyższych i niższych, nie licząc służby zwykłej jest 13, oprócz personalu urzędniczego w głównej dyrekcji we Lwowie, leśników, rządców, ekonomów i t. p. Dobra ziemskie należące do fundacji przeważnie są w dzierżawie. Dobra te składają się z wielkich, mniej więcej, następujących majątków: Rożniatów w stryjskiem miasteczko z 12 wsiami; Brzozdowce w Brzeżańskiem, miasteczko z 4 wsiami; Żydaczów miasteczko z folwarkami: Żabie i Słupijka z kilkunastoma wsiami; Drohowyże z miasteczkiem Mikołajowem z 10 wsiami; dobra w Stryjskiem: Kliniec, Smorze górne, Smorze dolne i Ostałowice w Brzeżańskiem; dobra Opary z przyległościami, Dołhe, Ropczyce, Słońsko w Samborskiem. Jest to tylko pobieżna notatka o majątkach, bo ścisłych cyfr na razie nie posiadamy — lasów też do fundacji należących są wielkie obszary.

Zapomnieliśmy wspomnieć, że chłopcy, oprócz nauki i rzemiosł uczą się mustry karabinami drewnianymi i muzyki na dętych instrumentach, tak, że do wojskowych muzyk bywają angażowani wychowańcy zakładu z Drohowyża.

Do wyżywienia wszystkich osób znajdujących się w zakładzie w Drohowyżu jest przeszło 600. Na utrzymanie ich administracja wydaje około 250,000 złr. rocznie nie licząc w to naturalnie kosztów i wydatków po za zakładem, oraz licznych zapomóg i wydatków w kierunku ulepszeń rzemieślniczych, rolnych, gospodarstwa leśnego i innych kosztów.

Wikt w zakładzie w Drohowyżu jest wyborny i obfity. Nie mówiąc już o urzędnikach, którzy, gdyby nawet mieli duże uposażenie, a sami utrzymywać się musieli, nie byliby w stanie tak dobrze i tak obficie się żywić — wychowańcy zakładu wyglądają tak zdrowo, jak gdyby przez najtroskliwszych rodziców byli żywieni i wychowywani.

Czystość w całym zakładzie zdumiewająco wzorowa, porządek we wszystkiem, ogromny, posłuszeństwo bezwarunkowe, ale łagodność w obchodzeniu się z wychowańcami, jest tak widoczna, że wszystko wygląda wesoło, zdrowo i śmiejąco. Pod względem hygjenicznym, zachowują się tu wszelkie warunki — ruchu i przechadzek jest zawsze wiele połączonych z rozrywkami młodemu wiekowi właściwemi. Od 1. czerwca młodsi chłopcy i dziewczęta chodzą boso, dla zdrowia. W zakładzie jest doktor, apteka i szpital. Obecnie na czele całej fundacji, mocą testamentu ś. p. fundatora stoi, jako kurator Henryk hr. Skarbek, który dopiero od paru lat objął swoje rządy. Nowy kurator stara się wszelkiemi siłami, aby zakład rozwijał się po myśli ś. p. fundatora, gorliwie dogląda wszystkiego i zajmuje się osobiście od największych do najdrobniejszych spraw.

Dyrektorem zakładu w Drohowyżu, jest Karol Brzozowski, znany i wysoce utalentowany poeta — człowiek przezacnego charakteru tak odpowiedni na tem stanowisku, że odpowiedniejszego znaleść byłoby bardzo trudno.

Komu czas i okoliczności dozwolą powinien podążyć do zakładu w Drohowyżu, aby przyjrzeć się temu wszystkiemu z bliska, a z pewnością pokrzepi się na duchu i, choćby mu los drzazgi za paznokcie wbijał, niezawodnie, zawoła: »są zacni ludzie na świecie«!

Kamerdyner mego dziadka

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

Z wrażeniem nieokreślonego przygnębienia, zmęczenia i przestrachu słuchałem Wintera, który mi wyłuszczał swoje projekta i kombinacje. Był to młody człowiek, nieco starszy ode mnie, do dziadka, a więcej jeszcze może do jego interesów, dziwnie przywiązany.

Ze wszystkiego widziałem, choć dobrze jeszcze interesów tych nie ogarnąłem, że bardzo ważną figurą był ów Pinkus.

Folwarki i fabryki niektóre trzymał on w dzierżawie, a kontrakty były długoletnie. Nadto, miał pohipotekowane summy na nieruchomościach dziadka, a od jakiegoś już czasu, kredytem swoim podtrzymywał naszą firmę.

Jednozgodnie z p. Winterem zadecydowaliśmy, iż tylko z pomocą Pinkusa można było widzieć ratunek w danych kombinacjach.

Gotówka była potrzebną, a droga do uzyskania jej została zamkniętą różnorodnymi kontraktami Pinkusa, z których ustępować on, w ten, czy ów sposób, musiał.

— Dziadek pański — rzekł Winter — przyzwyczaił się uważać Pinkusa tak, jakby zawsze był gorzelnianym chłopcem... Dziś więc nie potrafiłby z nim inaczej mówić, a tu teraz trzeba traktować interesa »de puissance à puissance«.

Wieczorem przyszedł do biura Jan, aby nas obu wezwać na kolację, z którą pan czekał.

Na schodach obrócił się do nas sługa i wyszeptał z wyrazem prawdziwego i głębokiego współczucia.

— Pan bardzo zmęczony — mówił z tym złodziejem ze trzy godziny.

— Z jakim? zapytałem.

Jan spojrzał na mnie zdziwiony, a Winter uśmiechnął się i odparł.

— Z Pinkusem — nienawidzi go Jan...

Istotnie, zastaliśmy dziadka bardzo zmęczonego: rysy jego wyciągnęły się, każda żyła na twarzy wystąpiła i drgała. Z wysileniem uśmiechnął się do nas.

— Chwila stanowcza nadeszła — zaczął — kasjer wypłacił dziś, co miał — w kasie zamkniętej dziś o pięć minut wcześniej, niema, ani rubla. Pinkus oświadczył, że, ani grosza więcej dostać nie może, fabryki w Nowemsiole dziś o godzinie czwartej stanęły, brak gotówki potrzebnej na najbliższe dnie wynosi do stu tysięcy rubli.

Urwał i z głową spuszczoną, z rękami w kieszeniach od swojej długiej kamizelki, chodził po pokoju. Po chwili zaczął:

— Spisałem mój projekt działania i zostawiłem w swem biurku.

Przy tych słowach, wyjął kluczyk z kieszeni i wręczył mi go, mówiąc do Wintera:

— Tobie, panie Winter, polecam mego wnuka... Kawaler to z głową otwartą...

Potem zaś, głosem poważnym, rzekł do mnie:

— A tobie... Ciebie proszę, abyś pamiętał, że prócz milionowej fortuny, masz uratować nieskazitelne i piękne nazwisko — to przedewszystkiem.

Odwrócił się od nas, a przeszedłszy kilka razy po pokoju, stanął przy oknie i oparł czoło o szybę.

Stał tak dość długo, a gdy się odwrócił, twarz jego wydała nam się strasznie zmęczoną i starą.

— Gdy pomyślę — wyrzekł tonem dziwnym jakimś — gdy pomyślę, że może jutro to podwórze, które pamięta naszych hetmanów i marszałków, usłyszy po raz pierwszy przekleństwa niezaspokojonych wierzycieli...

Jan wszedł, spojrzał na dziadka i stanął oniemiały.

— Czego stoisz, gapiu? — huknął dziadek.

— Kolacja podana! — wyszeptał kamerdyner.

Dziadek ochłonął. Podczas wieczerzy, nawet mówił o potocznych rzeczach, z właściwą tęgim głowom trzeźwością. Winter był prawie w humorze, ja jak z krzyża zdjęty.

Po wieczerzy, dziadek rzekł do Jana:

— Zapakujesz mi rzeczy tyle, aby mi wystarczyło na jakie dziesięć dni i każesz przyprowadzić konie pocztowe do zielonego kocza.

W godzinę później, podał mi rękę do pocałowania, ofuknął Jana, który nie tak, jak chciał pan, podał mu torbę podróżną, wsiadł do powozu i kazał ruszyć.

Zdawało mi się, iż coś pęka mi w sercu.

Spojrzałem na Jana, sądząc, iż niepodobna, aby on nie domyślał się przyczyny wyjazdu mego dziadka, ale twarz jego nie mówiła nic.

— Czy myślisz, mój Janie — zapytałem — iż dobrze się stało, że pan wyjechał?

Kamerdyner nie podniósł nawet oczu, tylko odparł cicho:

— Skoro pan tak rozporządził, to musi być i dobrze.

Ale w głosie jego była nuta fałszywa, jakby wychodząca ze ściśniętego serca.

Zastanawiał mnie ten Jan. Był to, w każdym razie, człowiek, w którego charakterze zdawały się drgać różne struny, ale wszystkie czemś, może despotyzmem mego dziadka z jednej, a przywiązaniem jego do pana z drugiej strony, były jakby przytłumione, bezgłośne.

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się dłużej nad charakterem starego sługi. Nazajutrz ze świtem wpadłem w zamęt interesów.

Pracowaliśmy z Winterem po całych dniach i nocach.

Kto nie był finansistą ratującym firmę, ten nie może mieć pojęcia o tej strasznej, udręczającej pracy umysłowej, o tych okropnie długich, bezsennych nocach, o tej gorączce trawiącej, o tem ciągłem, najprzykrzejszem uczuciu oczekiwania.

Dziadek mój bawił w Krakowie i codzień, przez posłańców konnych, komunikował się z nami. Rady jego jednak przychodziły zwykle za późno, bo w tych wypadkach idzie się zazwyczaj tylko za własną intuicją.

Od Pinkusa zdołaliśmy wymódz wszystkie możliwe ustępstwa, naturalnie, przy wspaniałych kompensatach. Należał on do naszych narad i często wychodził odemnie dopiero nad ranem. Był to żyd wyjątkowy, który nawet z pewnym, chwilowym uszczerbkiem swego mienia, okazywał gotowość wywdzięczenia się memu dziadkowi. Nie chciał nic stracić, ale też nie pragnął zanadto położenia wyzyskać. Powziąłem dla niego niemal uczucie poszanowania.

Jeden Jan spoglądał na Pinkusa podejrzliwem i zawistnem okiem. Gdy go pierwszy raz zobaczył siedzącego między nami na fotelu, widziałem, jak zbladł, i jak wargi jego nerwowo drgać zaczęły. Wieczorem, rozbierając mnie, odważył się tylko zauważyć:

— Złodziej, ten Pinkus, nigdy przy panu nie siadał.

— Ależ, mój Janie — odparłem — Pinkus wyświadcza nam prawdziwe usługi, bez niego...

— Bodajby to była prawda — odrzekł, a był tak rozdrażniony, iż trząsł się na całem ciele.

— Ale powiedz mi, mój Janie — zagadnąłem — za co ty tak nienawidzisz tego Pinkusa?

Jan milczał i długo nie odpowiadał, jak to, zresztą, bardzo często czynił, dopiero po dobrym namyśle wyrzekł:

— Co go mam nienawidzieć... złodziej żyd!... a zkąd przyszedł do pieniędzy?... parch!... łotr!... — szeptał kamerdyner, z wściekłością w swoim przytłumionem głosie.

Od czasu, jak Pinkusa, w pałacu mego dziadka, posadziłem na krześle, czułem, że straciłem wszelkie łaski u Jana, jeśli je miałem kiedykolwiek. Patrzał on na mnie wyrazem dziwnym swych spokojnych oczek, w których zaledwie były dostrzegalne iskry budzącego się dopiero podejrzenia. Badał mnie odtąd, obserwował i stał się jeszcze bardziej małomównym.

Nieraz pytałem go, czy wie, czy pojmuje grożącą nam ciągle katastrofę, ale nie otrzymywałem odpowiedzi. Wieczorem, gdym mu się oddalić rozkazał, stawał przy drzwiach i zapytywał:

— Czy niema wiadomości od pana, kiedy powróci?

— Nie, mój Janie.

— Życzę dobrej nocy jaśnie panu.

I wychodził.

To samo powtarzało się codzień. Raz jednak, po dniu nadzwyczaj ruchliwym, w którym przechodziłem już chwile zwątpienia i traciłem nadzieję, gdy mi Jan to samo zadał pytanie, odparłem krótko i z pewną niecierpliwością:

— Ach! niema żadnych wiadomości!

Jan skłonił się, wyszedł i słyszałem, jak przez cały szereg pokoi szeptał:

— Niema żadnych wiadomości... niema... — i wzdychał, ale tak ciężko, tak strasznie, że mnie aż dreszcz przejmował.

— Idjota! — wyszeptałem i... usnąłem.

— Jan się zmieniał, stawał się roztargnionym, robiąc często wyrażenie nawpół przytomnego.

Podzieliłem się spostrzeżeniem z Winterem, który odparł:

— Bo i ten człowiek pszechodzi straszną zmianę w swem życiu. Pomyśl tylko: od lat czterdziestu wychodził on codzień regularnie, o trzeciej po południu, przed bramę pałacową i, oparty o filar, gawędził z kamerdynerami, których za godnych swego towarzystwa uważał.

— Ale o czem? — zapytałem.

— Każdy rozprawiał o świetności i wspaniałości domu swego pana. Od chwili zaś zachwiania się naszego, to jest od kilku już miesięcy, Jana nawet na podwórzu nie widziałem. Pomyśl tylko! To była jego jedyna rozrywka — i czy uwierzysz gdy ci powiem, że on sto razy więcej cierpi od twego dziadka.

Tak mówił Winter, bardzo bystry spostrzegacz.

Po dwóch miesiącach, wreszcie, pozycja finansowa tak się zarysowała, iż można było rachować na ocalenie fortuny i firmy mego dziadka. Najważniejsze interesa się załatwiły, a wypłacalność domu od jakiegoś już czasu nie ulegała przerwie.

Jednakże i w tych chwilach nawet zdążania ku lepszemu, przychodzą rozstrzygające momenta. Właśnie, układałem projekt sprowadzenia mego dziadka napowrót do Warszawy, gdy wpadł do mnie Winter, niezwykle rozgorączkowany, wołając:

— Wszystko stracone! wszystko przepadło!

— Co? na Boga! — zawołałem, zrywając się i blednąc na samą myśl, iż coś mogło obrócić w niwecz dwumiesięczne, szalone wysiłki myśli i woli.

— Co? — zawołał Winter — co? — powtórzył, odchodząc od zmysłów. Simon zbankrutował! Simon który wczoraj był jeszcze niezachwiany, a Simon, jak wiesz, ma naszych weksli na sto tysięcy rubli. Bank Simona zamknięto dziś rano. Jeśli do jutra nie wykupimy naszych kwitów, jesteśmy zgubieni!

Stałem jak skamieniały.

— Sto tysięcy! — powtarzał, biegając po pokoju, Winter.

— Sto tysięcy! — szeptałem nerwowo, czując, że mi się w mózgu mąci. (Dok. nast.).

Teatr.

Order króla Senegambji, 3 aktowa farsa z francuskiego tłomaczona — jest to sobie robota dosyć wesoła i zabawna, a nieprawdopodobna tak, jak nowoczesny cezaryzm Boulanger'a... Uśmiać się można, a co rzecz też ważna, że przekład jest dobry — język czysty i poprawny. W farsie tej, w zeszłym tygodniu po raz pierwszy przedstawionej na naszej scenie za grę pełną życia i humoru zbierali oklaski: pani Kwiecińska, oraz panowie Kwieciński i Frenkiel — inne role były mniejsze, ale także bardzo dobrze odegrane zostały.

Drugi debiut panny Zimajer (córki) w *Grzeszkach babuni* dowiódł, że panna Zimajer mało posiada temperamentu, organ mowy ma zbyt nikły, co przy malutkim wzroście i drobnej korpulencji, musi niekorzystnie wpływać na dalszą karjerę sceniczną — natomiast, panna Zimajer okazuje dużo sprytu artystycznego, a w wykonywaniu informacyj reżyserkich, jest tak staranna, że, ani jednej kreski nie pominie...

Błazen królewski, świeżo przedstawiona operetka na lwowskiej scenie jakiegoś nieznanego kompozytora niemieckiego Müllera, pod względem muzycznym, jest niezdecydowanego charakteru — ni pies, ni wydra... Operowe, poważne traktowanie całych scen, gdzie nie gdzie przeplatane są lekką i trącającą o kankanik muzyką... Możeby, zresztą, takie małżeństwo poważniejszej muzyki z podkasaną muzą, uszlachetniło jakoś operetkę — ale chyba do takiej reformy musieliby się wziąść inni kompozytorowie, a nie taki p. Müller, który nie okazał, ani krzty oryginalności w całej kompozycji i bez żadnej ceremonji poobdzierał sobie z jaki tuzin znanych kompozytorów... Libretto wzięte z historji francuskiej o Filipie Rudym — pod względem przekładu na język polski, jest staranne i dobre, ale sensu nie ma, a pewne silenie się na dramatyczność, jak zemsta błazna, jest dziwnie nienaturalne... Najpiękniejszą w całej operetce, jest wkładka o Ialce, jednego z warszawskich kompozytorów, którą pani Zimajer wykonywa prześlicznie, równie, jak całą rolę wiejskiej francuskiej dziewczyny, gra pani Zimajer, oczywiście, z wielkim sukcesem... Bardzo ładnie i efektownie wykonana jest scena fechtunku, przez śliczne nasze chórzystki — mogłyby się z nią popisywać w Paryżu... Tenorowe partja, bardzo, zresztą, trudna i trzymana w charakterze operowym — choć z pewnym wysiłkiem, ale znalazła starannego wykonawcę w p. Laskowskim. Pani Radwan, jako Felisa śpiewała z siłą i z wdziękiem. Szkoda nam było p. Zboińskiego, na takiego błazna. Komiczny żywioł przedstawiali: pp. Myszkowski i Skalski — szczególnie ten ostatni za kuplety zbierał frenetyczne oklaski. Wystawa operetki jest bardzo ładna — reżyserja niezmiernie staranna — całość harmonijna.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. W. Cz. z S. W każdej księgarni możesz pan dostać żądanych utworów — nawet i na miejscu, a jeśli tam nie ma, to panu sprowadzą ze Lwowa. Co do tego, czy pan będzie „rymarzem“, czy też „dobrym dziennikarzem“, nie można więcej powiedzieć, jak tylko, że dobre o sobie mniemanie, jest połową szczęścia.

P. Fr. Giżyński w Chicago. Stosownie do żądania wysłaliśmy numera „Gońca“ i „Iskry“, oraz objaśniającą kartę korespondencyjną, a teraz czekamy na przesłanie prenumeraty, która na cały rok wynosi 4 dolary, albo 20 franków.

Szan. Redakcji „Wienibe Lietuwniku“ w Plymouth, w Ameryce. Wysłaliśmy numera i wysełać będziemy, bez przerwy, na zamianę. — Prosimy umieścić ogłoszenie o naszych pismach po litewsku i po polsku.

P. Wład. Gorzkowski w Liman Arapohoe Colorado Ameryka. Otrzymaliśmy 4 dolary. Numera zaległe wysłaliśmy. Rok pański rozpoczyna się od 15 lutego.

Wieleb. Ksiądz prob. Pacholski w Mineapolis, Ameryka. Otrzymaliśmy 4 dolary — numera zaległe wysłaliśmy. — Osobnych wydawnictw książkowych na składzie nie posiadamy.

Nadesłane.

Wielki skład win Ozjasza Bardt we Lwowie za rogatką żółkiewską, posiada wszelkie gatunki wybornego wina czystego i zdrowego. Poleca ten wielki skład win wszelkim zakładom publicznym, oraz domom prywatnym i zapewnia, że każdy będzie zadowolony, gdyż piwnica i cały interes prowadzony jest sumiennie, starannie i pracowicie. (4492—3—1)

Do Szanownej Redakcji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie.

Każdą pracę w jakimkolwiek ona rozwija się kierunku witamy zwykle życzliwem słówkiem: „Boże dopomóż“. Otóż, tego poczciwego życzenia — tej sympatji, która tak dzielnie przyczynia się do rozwoju pracy, życzę z całego serca mojem uczenicom *Marji i Wandzie Janiszewskim*, które zaszczytnie ukończywszy kursa malowania w kierunku artystyczno-przemysłowym w seminarjum żeńskim w Krakowie — zakładają filję we Lwowie, wstępując na pole obszernej pracy, tak mało utorowanej w tym kierunku. Jednocześnie dla okazania, jak na tej drodze wrodzony gust polski ma obszerne działanie — otwiera się od 1. Czerwca r. b. wystawa, która trwać będzie przez cały miesiąc — jakoteż sześciotygodniowe kursa malowania — aby zachęcić nasze młode rodaczki do tak przyjemnej i zajmującej pracy, oraz ułatwić naukę osobom, które chwilowo bawią we Lwowie.

Agnieszka Bufle

założycielka kursów malowania w kierunku przemysłowym przy seminarjum żeń. w Krakowie.

Na linii koleji Lwowsko-Czerniowiecko-Jasskiej, jedna z najlepszych restauracyj, jest bezwątpienia, na dworcu kolejowym **w Bukaczowcach**. Podają w niej potrawy smaczne, zdrowe i wcale nie drogo, przytem czystość jest przykładna. Napoje także wszelkiego rodzaju są wyborno, a piwo wyśmienite. Restauracje tę utrzymuje p. Birnbaum, który pracując uczciwie i prowadząc interes z wielką starannością, zasługuje na publiczne uznanie i poparcie. (4493-3—1)



Sadyba cygańska na Rusi podczas lata i w święto.

We Lwowie można nabyć zegarki po bajecznie niskich cenach z dwuletnią gwarancją.

Niklowe remontoary 6 złr. 25 ct.
Srebrne remontoary 9 złr i wyżej.
Pendułowe bijące godziny i pół od 15 złr.
Kuchenne i budziki od 3 złr. 50 ct.

Jedynie tylko u

JANA SELTENREICHA
zegarmistrza
ulica Karola Ludwika 21 (Hotel Angielski).
(4490-1-4)

Nowa pracownia kamieniarska

P. Franciszka Preissnera

we Lwowie, przy ul. Żółkiewskiej

zaopatrzona w przeróżne rodzaje kamienia przeważnie z gór Tarnopolskich w jak najlepszym gatunku i rodzaju, wykonywa wszelkie roboty kamieniarskie, fabryczne, cmentarzowe z wielką rzetelnością i ze znajomością fachową, poleca się Szan. P. T. Publiczności prosi o łaskawe poparcie swoimi względami polecając się łaskawej pamięci. (4491-1-4)

Z głębokim szacunkiem
Fr. Preissner.

Zmiana pomieszkania.

Dr. Leon Rosenbusch,

były elew przy klinice chorób wewnętrznych U. J w Krakowie,

ordynuje od 1. maja b. r.

w chorobach wewnętrznych

we Lwowie, przy ul. Kopernika l. 32.
I. piętro, od godz. 2—4.
(4487 2—4)

Józef Schnell
w Przemyślu
ul. Franciszkańska obok apteki Wgo Nahlika,

poleca swoją pracownię i skład obówia wszelkiego rodzaju, z najlepszych materjałów krajowych i zagranicznych które oprócz trwałości, wygody i w najnowszych fasonach wykonane, uskutecznia z największą rzetelnością i sumiennością.

Zamówienia wszelkiego rodzaju przyjmuje i uskutecznia z największą starannością i po najprzystępniejszych cenach. Zamówienia zaś zamiejscowe przyjmuje nadesłaną formą zużytego bucika, bądź miarą w centymetrach podaną i odpowiada wymaganiom jak najrychlej.

Polecając się względom Szanownej PT. Publiczności, pozostaje z wysokim poważaniem
(4282-8-8) **J. Schnell.**

LUFT
w Przemyślu przy ul. Franciszkańskiej

poleca największy skład mebli wszelkiego rodzaju, od najzwyklejszych do najwykwintniejszych — po cenach bardzo umiarkowanych za gotówką, lub na spłaty ratami.

Wszelkie zamówienia załatwiają się natychmiast Roboty tapicerskie na żądanie we własnym magazynie starannie i gustownie wykonują się.
(4283-8-12)

Browar
Jana Kleina
we Lwowie na Pohulance
poleca piwo butelkowe
najlepszej jakości
i odseła takowe w ilości **10** butelek, w obrębie rogatek do domu. (4360-st.).

Powiększenia fotograficzne
z jakiejkolwiek fotografiji
aż do naturalnej wielkości,
wykonywa bez zatraty podobieństwa
Zakład fotograficzny
J. Hennera, **Lwów Akademicka 16.**
(4486 1—4)

Bernard Liban
wyrób gipsu wszelkiego rodzaju
w Podgórzu pod Krakowem poleca **gips nawozowy**

Analiza (rozbiór chemiczny):

Woda i ciała lotne	19.885%
Części nierozpuszczalne	3.575 „
Kwas siarkowy	45.056 „
Tlenek żelaz. i glin	0.260 „
Tlenek wapniowy	31 083 „
Tlenek magnowy	0.094 „
Alkaiia	0 148 „

Pr. Dr E. Bandrowski.

Gips mularski i rzeźbiarski

w najlepszej jakości, palony w piecu najnowszej konstrukcji.

Wszelkie zamówienia uskutecznia się, jak najrychlej i tanio. (4255-4 5).

Pracownia rytownicza „Pod Pieczęcią“

Aleksander Schindler

we Lwowie przy ul. Sykstuskiej l. 15.

Wykonuje najstaranniej i po umiarkowanych cenach: Rzeźby i znaczenie herbów, liter i monogramów na złocie, srebrze, stali, miedzi, mosiądzu, kości słoniowej i drogich kamieniach Metalowe pieczęcie do laku i farby: dla urzędów, gmin, parafij, szkół, kancelaryj adwokackich i notarjalnych, bibliotek i innych — również kauczukowe pieczęcie (stampilie) do farby dla handlów, przedsiębiorstw przemysłowych, składów towarowych i korporacyj rzemieślniczych. Szyldy grawirowane i odlewane Maszynki do suchego wypukłego druku i herbów, liter, monogramów i całych słów na listach, kartonach i kopertach. Cęgi do opłatków. Medale pamiątkowe i medaliki religijne podług rysunków, fotografij i sztychów. Zamówienia z prowincji uskutecznia, jak najrychlej.

Również poleca artystycznie wykonane medale pamiątkowe powstania polskiego z roku 1863/4. Srebrne i z nowego srebra.

Zmiana lokalu.

Leon Wieczorkowski
tapicer
z dniem 1-go maja 1887 roku
przeniósł swój
MAGAZYN i PRACOWNIĘ
z domu Nr. 2 przy ulicy Wiślnej
do domu Nr. 28 przy ulicy Florjańskiej,
dom J. O. Księżnej Lubomirskiej.
w Krakowie.

Polecając się nadal łaskawym względom Szanownej Publiczności pozostaję z wysokiem poważaniem
(4381-4-4). *Leon Wieczorkowski.*

Adres dla telegramów: Kwiatkowski Józef — Tarnopol.

Skład wszelkich przyborów pogrzebowych
JÓZEFA KWIATKOWSKIEGO
w Tarnopolu, w rynku l. 247.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że chcąc uchylić wszelkie trudy stroskanej rodzinie po stracie najdroższych im osób, przyjąłem na siebie obowiązek zajmowania się pogrzebami, a to od najskromniejszych do najwspanialszych, tak w miejscu, jakoteż i na prowincji.

W tym celu zaopatrzyłem mój skład w wielki wybór wszelkich przyborów pogrzebowych, trumien szklannych, metalowych, które po cenach fabrycznych nabyć można, trumien dębowych (imitacja metalowa), jak niemniej z miękkiego drzewa po cenach nader przystępnych.

Wieńce, szarfy z napisami i kapy w wielkim wyborze po cenach fabrycznych.

Karawan I, II. III. klasy, żałobniki z pochodniami itp. po nader niskiej cenie.

Wszelkie zamówienia tak miejscowe, jakoteż z prowincji przyjmuję na składzie jakoteż w własnym domu przy ul Strzeleckiej niższej l. 1470, które z wszelką sumiennością, w jak najkrótszym czasie uskuteczniam

Polecając skład mój łaskawej pamięci i względom Szanownej P. T. Publiczności, kreślę się (4474-2-7).

z wszelkiem poważaniem
Józef Kwiatkowski.

Piece kaflowe
3
Glińska
na składzie
we
Lwowie
ulica Sobieskiego 3.
(4448 3—5)

Wszechnauk lekarskich
Dr. K. Radlmesser
były ck. lekarz wojskowy
ordynuje w chorobach wenerycznych i skórnych ul. Zielona l. 5. od 1 do 4.
(4141 3-10).

S. Redinger
fabryka maszyn i gisernia
w Czerniowcach,

posiada na składzie wszelkiego rodzaju maszyny tak do rolnictwa, jak i do wszelkiego rodzaju przemysłu i fabrykacji. Przy tem gisernia na wielką skalę. Wykonanie robót z największą dokładnością. Ceny umiarkowane. Adres dla telegramu

Redinger — Czerniowce.
(4473-3-4).

PIERWSZY WIEDEŃSKI BAZAR
J. Königsbergera
Główny skład we Lwowie, Rynek l. 32
Filia: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 39
poleca swój wielki wybór
wszelkich towarów galanteryjnych

Parasolki damskie i dziecinne od 40 ct. do 10 złr. — En tout cas męzkie od 90 ct. i wyżej w największym wyborze.

BIELIZNY

biżuterji, perfumerji, przyborów do palenia i podróży jakoteż płaszcze gumowe.

Wielki wybór deszczochronów od 90 ct. i wyżej
(4404-8-10)

Z bawki dziecinne wszelkiego rodzaju
po najtańszych cenach.

Telefon Nr. 13 i 14 za pomocą którego można się porozumieć i robić zamówienia.

M. B STÖGER
w Szczawnicy

Handel korzenny. Skład spirytusu, rozolisów i likierów. Rum, koniak, piwo i wielki handel wina. Handel pod tą firmą znany jest powszechnie z akuratnego i rzetelnego prowadzenia interesu. Wszelkie artykuły są najlepszej jakości, a ceny umiarkowane. Wszelkie zamówienia jak najspieszniej są wykonywane
(4486—2—6)

Specjalista chorób dziecięcych
Dr. Antoni Wachtel
b asystent uniwers. Jagiell. i 1-szy sekundarjusz kliniki i szpitala dla dzieci w Krakowie,

mieszka **we Lwowie** przy ulicy **Wałowej l. 11,** I. piętro, ordynuje od godziny 3—5 po południu.
(4460-3-3).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni „Gazety Narodowej“ ulica Kopernika l. 5 — Telefon Nr. 117.